

## ZE ŚMIERCIA POD RĘKĘ



Autor wspomnień, których fragmenty wojenne publikujemy, to urodzony w Rogaszczych w roku 1928 Józef Chowański. 1 września 1939 roku, kiedy rozpoczęła się II wojna światowa, miał zaledwie 11 lat.

### CHOROBA I SZPITAL W WEIDEN

Czwartego dnia poczułem się niewyraźnie, miałem gorączkę, przyspieszony oddech. Powiedzialem o tym kolegom. Radzili, żebym się trzymał.

Był to obóz przejściowy, więc mieliśmy nadzieję, że może jutro, najdalej pojutrze, zabiorą nas stąd gdzieś na roboty, wtedy się jakoś ułoży. A gdy tutaj zgłosił się ktoś jako chory, to było wiadomo, że w przeciągu kilku godzin zostanie wyprawiony na „łono Abrahama”. W dodatku tej nocy zginęła mi miska, a nie mieć miski oznaczało nie mieć żywienia.

Po kolacji zarządzono zbiórkę przed barakiem. Wyszliśmy. Czekał tu już lagerführer, dwu wojskowych i kilku Ukraińców. Komendant lagru powiedział:

- Kto zna niemiecki, niech wystąpi przed szereg.

Bez namysłu, bodajże jako pierwszy, wystąpiłem. Po mnie wystąpiło jeszcze kilku. W sumie mogło nas być z piętnastu. Usłyszałem:

- Za mało! I to jeszcze same stare przyki.

Oficer zamienił kilka słów z lagerführerem, po czym powiada:

- Niech wystąpią ci wszyscy, którzy chociaż cokolwiek umieją po niemiecku.

Skinął na mnie i zapytał, czy rozumiem, o co mu chodzi. Mówię, że tak.

- No to przetłumacz im.

Trapiła mnie gorączka, zasychało w gardle. Zipiąc, jednak jak mogłem najlepiej, wyrecytowałem to zdanie. Powiedział:

- Jeszcze raz, ale głośniej i wyraźniej!

Nie powtórzyłem ani głośniej, ani wyraźniej. Nie zwracał więcej uwagi, za to usłyszałem z szeregu słowa kierowane pod moim adresem, że gówno rozumieją z tego, co ja stękam. Pytali jeden drugiego i któryś tam zawsze wychodził przed szereg. Oficer w stopniu porucznika wskazywał palcem na tego, który niby mu odpowiadał. Wskazany wstępował do grupy wybranych. A ponieważ jeszcze nie było tylu, ilu potrzebował, wracał i znowu dobierał. Mnie nie wzięli. Widziałem, że wybiera dość silnych, w wieku od 20 do 40 lat, chłopów. Potem zwrócił się do wybranych, aby ten, który zna dobrze niemiecki, wystąpił. Spoglądali jeden na drugiego, ale jakoś nikt nie występował. Spojrzał po pozostałych, widocznie mnie nie poznał bądź nie zauważył, bo głośno, jakby z niezadowolaniem, zawołał: Tłumacz, do mnie!

Wiedziałem, że to o mnie chodzi. Wyszędłem nieśmiało, znałem niemiecki o tyle, o ile.

Powłada:

- Tak, ty, ty! Chodź do mnie!

Podobnie wyselekcjonowano mężczyzn jeszcze z dwu baraków, wszystkich było nas 61 chłopstwa. Zabrali grupę i wprowadzili do baraku administracyjnego, do dużej sali wyposażonej w żelazny piec, stół, krzesła i rzędy ławek, na których kazano nam siadać i czekać.

Gdzieś po godzinie zaczęło się urzędowanie. Każdy podchodził pojedynczo do stołu, podawał imię, nazwisko, imiona rodziców, daty i miejsce urodzenia, adres rodziców bądź żony. Spisywał to cywil osobno i kapral osobno, porucznik żądał dokumentów. Ukraińiec każdemu maczał palec w tuszowej poduszce

i odciskał na tych dokumentach linie papilarne.

W końcu powtarzałem po polsku, co oni mówili po niemiecku. Trwało to koło dwóch godzin. Mnie nie spisano, zwróciłem się więc do oficera z przypomnieniem, że jeszcze ja. Odpowiedział, że jestem młody i takich nie potrzebuje, a dla mnie znajdą odpowiednią pracę. Uparłem się i mówię, że właśnie dlatego, że jestem młody, to chcę jeszcze żyć, a tutaj dwóch dni już nie dożyję. Zapytał mnie dlaczego. Odpowiedziałem, że mam gorączkę i jestem chory na zapalenie płuc, i proszę nie o to, aby mnie zabrał, lecz o ratunek. Odpowiedział, że przecież tu musi być jakaś izba chorych.

Naszej rozmowie przysłuchiwał się Ukraińiec, który powiedział, że jest tu izba chorych i że jeszcze dzisiaj może mnie tam zaprowadzić. Potwierdziłem, że jest, lecz nie życzyłbym nawet psu takiej budy, jaką tutaj jest izba chorych. Oficer powiedział, że to niemożliwe.

- Poruczniku, to jest możliwe i albo mnie pan zabierze, albo zastrzeli tu na miejscu, gdyż nie chcę, by się jeszcze kilka godzin nade mną znęcali.

Posłano po lagerführera, po kilku minutach przyszedł, porucznik kilka minut rozmawiał z nim na osobności, następnie zwrócił się do mnie, że mam być spokojny, on mnie zabiera.

Jak się później dowiedziałem od ludzi, którzy przechodzili przez ten obóz, od tej pory izba chorych była ogrzewana, na pryczach leżała powleczone pościel i raz dziennie przychodził lekarz. Nie mogę powiedzieć z całą pewnością, czy była w tym moja zasługa.

Po tym wszystkim wyszliśmy za bramę lagru. Z nami był już tylko ten porucznik i kapral. Otaczali mnie specjalną opieką w drodze na dworzec do Neumarku, skąd około drugiej po północy, odjechaliśmy w stronę Weiden.

Jeszcze na długo przed świtem byliśmy na miejscu. Do rana czekaliśmy na dworcu.

sierpniowe, a nawet wrześniowe, niż wysłuchiwać mrzonek o czerwcu.

Brak wyborów 10 maja rodzi wiele komplikacji politycznych i rzutuje na wizerunek Polski, bo jednak nie poradziłyśmy sobie ze zorganizowaniem wyznaczonych wyborów głowy państwa. Opozycja ma teraz używkę, tylko że to właśnie ona najgłośniej wołała o przesunięcie daty, potem zaś senacką obstrukcją uniemożliwiła głosowanie 10 maja.

Od przynajmniej dwóch tygodni było już wiadomo, że wyznaczony na ten dzień termin wyborów staje się nierealny. Spodziewaliśmy się jednak, że będą one przesunięte o tydzień lub dwa. Tak się nie stało, sejmowa większość postanowiła pójść inną drogą, być może słuszną, dającą „głębszy oddech” zarówno wyborcom, jak i kandydatom, którzy teraz będą mogli sobie pozwolić na choćby symboliczne kampanie wyborcze. Ale

# KLIMATYZACJA WENTYLACJA

## J3M KEMPA

### ☎ 604 773 208

ul. Gajowa 6c, Ostrzeszów

Nikt nas specjalnie nie pilnował. Podano nam adres, ażeby w razie zaginięcia stawić się na miejscu. W Weiden zaprowadzili nas na Arbeitsamt, tam dopełniono wszystkich formalności, a potem dalej pociągiem pojechaliśmy do Vilseck - było to nieduże miasteczko w Bawarii. Porucznik zabrał całą kolumnę, a mnie kapral zaprowadził do szpitala, gdzie zaraz się mną zajęli. Miałem ponad 40 stopni gorączki. Pamiętam tylko, że siostry doprowadziły mnie na salę i podobno dwa dni i trzy noce przespałem; myśleli, że się już nigdy nie obudzę.

Był to wojskowy szpital i opieka nad chorymi była wzorowa. Przebywałem tu prawie trzy tygodnie, zregenerowałem siły i doszedłem do zdrowia. Dzięki swojemu uporowi żyłem dalej.

Z tyłu szpitala stał lichej barak z piętrowymi pryczami, przeznaczony dla Ruskich i Polaków na szpital. Obsługiwała ten oddział polska siostra zakonna. Gdy poczułem się na siłach, chodziłem tam zawsze po kolacji, zaprzyjaźniłem się z niejakim Janem, który był chory na gruźlicę. Żał mi go było bardzo, był młody, chciał jeszcze żyć. Zajmował się nim i leczył go na swój sposób

jeniec rosyjski z Uzbekistanu. Był znachorem, ciągle coś opowiadał, podchodził do każdego, zaglądał do oczu, kładł rękę na piersi, coś tłumaczył. Po jednym z takich badań pokazał na palcach, że Jankowi pozostały jeszcze trzy dni. Pocieszaliśmy go. On jednak trzeciego dnia poprosił siostrę, aby sprowadzi-

ła księdza, przyniosła różaniec i mnie też kazał przywołać, bo chciał się ze mną pożegnać. Zaraz po wizycie poszedłem do tego baraku, ksiądz właśnie odszedł, paliły się jeszcze świece, na taborecie stał krzyż. Podeszedłem do jego pryczy; był jakiś inny, uśmiechnięty, cerę miał delikatną, poróżnowiałe policzki. Mówię do niego:

- Janku, widzę, że jest ci dzisiaj chyba lepiej.

Odpowiedział całkiem normalnym głosem:

- Tak, już mnie nic nie boli, bo już nie jestem tu z wami, służę mojemu Panu i modlę się za was. Módlcie się i wy, bo modlitwy nigdy za wiele.

Zamilkł na chwilę, po czym powiedział:

- Żegnajcie, przyjaciele.

W dłoniach trzymał różaniec, kładliśmy swoje dłonie na jego dłoniach. Wszyscy płakali, nawet Uzbek. Siostra poszła po lekarza, który stwierdził zgon. Janka wyniesiono do kostnicy. Mówiono, że na jego grobie ziemia nigdy nie zamarała i zawsze kwitły kwiaty.

Tego samego dnia lekarz powiedział mi, że jutro opuszczę szpital. Zasmuciło mnie to, bo zżyłem się z personelem i żołnierzami, którzy bronili mnie, mówiąc, że jeszcze nie jestem całkiem zdrowy i powinienem tu zostać. Powiedział, że tylko do jutra.

Nazajutrz, po śniadaniu, pielęgniarka przyniosła mi rzeczy i kazała iść po wypis. Dostałem skierowanie do koszar w Altenhausen. (cdn.)

## WYBORY PÓŹNIEJ! TYLKO KIEDY?

Jest wieczór 10 maja 2020 r. Jeszcze dwa miesiące temu byliśmy pewni, że o tej porze będziemy już znać chociażby przybliżone wyniki wyborów prezydenckich w naszym kraju. Nic z tego! Nasi politycy, przy wielkim wsparciu koronawirusa skutecznie zadziałali, by wyborcze święto wykreślić z kalendarza, a już na pewno przesunąć je na bliżej nieokreśloną przyszłość. Są wprawdzie zapewnienia, że będzie to raczej przyszłość niedaleka, lecz pomny na to, co wyprawiano z ustaloną cztery miesiące temu datą 10 maja, byłbym bardzo ostrożny w traktowaniu na sto procent jakiegokolwiek ogłoszonej nowej daty. Dożyjemy, zobaczymy, oby...

Na giełdzie terminów wyborczych pojawiło się już kilka dat, najczęściej wymienia się 12 i 19 lipca. Mówi się nawet o wyborach czerwcowych, ale te wypowiedzi traktuję z dużą rezerwą, choćby dlatego, że nowa ustawa znowu będzie musiała tkwić w senacie, w którym większość ma opozycja. Dlatego zapewne znów będziemy świadkami dogłębnego badania projektu ustawy przez marszałka-doktora i jego konsylium, a efekty tych dochodzeń pewnie znowu będą zerowe. Nie wiemy też, jak postąpi Sąd Najwyższy i ile czasu będzie potrzebował na stwierdzenie nieważności wyborów, które się nie odbyły. Dlatego prędeż jestem skłonny uwierzyć w prognozy

dalszy, wciąż jeszcze nieznanym, termin rodzi problemy, o których wspominałem wcześniej i grozi nam „bezkrólewim”, bowiem kadencja urzędującego prezydenta definitywnie kończy się 6 sierpnia. Nie chcę prorokować, co by się stało i jakie larum zostałyby podniesione, gdyby wybory nie odbyły się przed tą datą. Liczę jednak w tej sprawie na pewną mądrość całej klasy politycznej, która pozwoli w miarę spokojnie i w terminie wybrać głowę państwa. Być może niedługo, ale pewnie dopiero po werdykcie Sądu Najwyższego, marszałek sejmu ogłosi nową datę wyborów. Uważam, że powinna ona zakładać miesięczne „leżakowanie” projektu uchwały w senacie, a potem przynajmniej kilka tygodni na spokojne, i w majestacie prawa, przygotowanie wyborów. Ważne jest, aby Poczta Polska sprawnie i w miarę szybko rozprowadziła pakiety wyborcze, konieczne do

głosowania korespondencyjnego, lecz wolałbym, żeby organizacją wyborów zajęły się samorządy, mające i sprzęt, i ludzi, i doświadczenie. Nie mówiąc już o tym, że samorządy razem z wybranymi (choć szczątkowo) komisjami wyborczymi, działając pod nadzorem PKW, dawałyby bardziej demokratyczną legitymację wyborcom, niż jest to w przypadku przedsiębiorstwa, nawet państwowego. Jak to ostatecznie będzie - zobaczymy.

Najwidoczniej w tym roku z powodu koronawirusa, ale nie tylko, jesteśmy skazani na ciągłą niepewność. Najpierw od dwóch miesięcy nie mogliśmy być pewni daty 10 maja, teraz nadal nie wiemy, kiedy przełożone wybory prezydenckie się odbędą - w jakiej formie? Z którymi kandydatami? A nawet gdy poznamy datę nowych wyborów, nie musi to oznaczać, że „słowo stanie się ciałem”.